

CZADEK

Czerwiec 2004

numer 3(15)

cena 1 zł

XXVII L.O. im. Tadeusza Czackiego w Warszawie



debiut fantasy
na lamach CZADKA
s. 9-11

kultura s. 6-7

mistrzostwa
europy w piłce
noznej s. 11-12

ODESZLI . . . s. 4

Martwe przepisy

Statut naszej Szkoły jest jedynie zbiorem martwych przepisów, które są nieprzestrzegane i łamane są niemal codziennie. I mimo że ten stan nie burzy systemu funkcjonowania naszego Liceum, to jednak byłoby lepiej zarówno dla uczniów, jak i nauczycieli, gdyby prawa były przestrzegane i respektowane.

Chciałbym ten wątek rozwinąć na przykładzie dwóch punktów ze Statutu, o których poinformowała mnie pani prof. Swoboda. Pierwszym z nich jest prawo ucznia do nieprzyjęcia oceny ze sprawdzianu, który zostaje oddany po upływie dwóch tygodni od jego napisania. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdarzyło się komuś wykorzystać taką możliwość. A sposobności jest, niestety, stosunkowo wiele. I nie zamierzam krytykować tutaj nauczycieli, którzy nie zdążają sprawdzić naszych klasówek w wymienionym wyżej terminie. Jednak łamanie przepisów nie przystoi w szkole, która ma kształcić światłych, świadomych i praworządnych obywateli.

Drugim nagminnie łamanym punktem Statutu jest ograniczenie ilości sprawdzianów do trzech w tygodniu i jednego w poszczególnym dniu. Chyba każdy przeżył już tydzień z pięcioma, sześcioma czy też siedzioma klasówkami. Znowu przepis, mający chronić uczniów przed nadmiarem pracy i stresu, jest w ogóle nieprzestrzegany. Rozumiem argumenty nauczycieli, że oceny muszą być wystawione, a najlepsza do tego okazja jest sprawdzian. Nie pojmuję jednak podejścia, które również jest dość popularne. Chodzi mianowicie o propozycje napisania ponadregulaminowego sprawdzianu, składane przez nauczycieli. Wydaje się, że dogadanie się jest jedyną możliwością. Ale jest tak tylko wtedy, gdy obie strony dojdą do jakiegoś kompromisu. A kompromisem nie można nazwać propozycji „nie do odrzucenia” – jeśli uczniowie nie napiszą

sprawdzianu, to będą mieli dwie lub nawet trzy kartkówki (teoretycznie niezapowiedziane). Powinny one obejmować jedynie zakres materiału, przerobiony na ostatnich trzech lekcjach. Niestety, jest to ponownie jedynie pobożne życzenie uczniów.

Konkludując, uważam, że taki stan nagminnego łamania Statutu Szkoły nie powinien mieć miejsca. Można to chyba zrobić tylko na dwa sposoby – zmiana i dostosowanie zapisów owego Statutu lub większe jego egzekwowanie. Wydaje mi się, że jest tu do spełnienia bardzo ważna rola Samorządu Uczniowskiego, który powinien tę sprawę w imieniu uczniów uregulować.

marcin

Rozdanie świadectw dojrzałości

We wtorek, 8 czerwca, tegoroczni absolwenci naszej elitarnej Szkoły odebrali z rąk Wychowawców tudzież Dyrekcji świadectwa dojrzałości. Uroczystość okraszona była obszernymi podsumowaniami minionych lat czterech, z wyliczeniem zalet odchodzących klas oraz przemowami i występami. Ponadto (a może przede wszystkim) sztandar Szkoły został uroczysto przekazany w ręce przedstawicieli klas drugich.

Entuzjazm publiczności wywołały: wystąpienia p. Chodorowskiego i p. Kłopotka, a w części artystycznej – wiersz o ogromnej małpie, świetne solo na werblu oraz piosenka Ani Zaczek, skomponowana specjalnie na tę okazję.

Później absolwenci rozeszli się do klas na spotkanie z wychowawcami oraz poczęstunek.

svistak

Wiecej na stronie 4.

Tranzyt

Wenus



Jak niektórym wiadomo, we wtorek 8 czerwca mieliśmy okazję oglądać przejście Wenus przez tarczę Słońca. Moment wręcz historyczny, bo następnego raczej nie będzie dane nikomu z nas oglądać (chyba że ktoś jest kosmita :P). Od samego ranka w pracowni informatycznej można było oglądać wygrzebaną z czelusi Internetu transmisję (prawie) na żywo tarczy Słońca z widoczną na jej tle tarczą Wenus. Niestety, odświeżanie obrazu zakończyło się po spotkaniu z klasą 2e, której serdecznie gratulujemy tego, że do końca tranzytu (czyli do ok. 13.20) oglądali jedno i to samo zdjęcie z godziny 9...

Ale to nie wszystkie atrakcje, przygotowane tego dnia. Na „Oslej Łączce” przed Szkołą, pod nadzorem prof. Dłużewskiej, klasa 1e stworzyła amatorskie obserwatorium. Pozwalało oglądać powiększony obraz Słońca, rzucony na przygotowany ekran. Niestety, po około godzinie działalności pogoda wzięła górę, niebo pokryło się chmurami i zaczął padać deszcz.

Tym niemniej obserwacja była udana i została udokumentowana fotograficznie.



svistak

13 czerwca 2004 był jednym z takich dni, który na czas jakiś powinien pozostać (i myślę, że pozostać) w naszej polskiej pamięci. I zresztą nie tylko w polskiej, bo skutki tego, co Polacy zrobili (a właściwie zaznaczyli), będzie odczuwać cała Europa. Tak – oczywiście mam tu na myśli wybory do Parlamentu Europejskiego. Początkowo zamierzałam napisać o innym aspekcie tego całego zamieszania, ale po telefonicznej rozmowie z moją Mamą postanowiłam nieco zmienić temat swojego komentarza.

Rozmowa zaczęła się całkiem zwyczajnie, lecz była to pewnego rodzaju cisza przed burzą, bowiem kiedy zadałam rodzicielce pytanie, czy udało jej się zagłosować, będąc w Białymstoku (tam akurat przebywała i wbrew wszelkiemu pozorom nie znajduje się tam okręg wyborczy, do którego należy moja rodzina), usłyszałam, że ona w ogóle nie poszła do urny! Az usiadłam z wrażenia – ona, która od dziecka wpajała mi zasady „społecznego życia” i tłumaczyła zawiłości świata polityki, po prostu nie poszła! Dlaczego? Ano dlatego, że nie wiedziała, na kogo ma głosować... Niestety, obawiałam się takiej odpowiedzi. Moja mama, tak jak reszta podobnych sobie Polaków, popadła w stan ogólnego rozgoryczenia na polityków, politykę i wszystko, co się z nimi wiąże. I postanowiła się poddać, nie się interesować i tak nic by zmieniła. Mam nadzieję, że będzie siedzieć przed telewizorem i reprezentuje Polskę na forum europejskim (i znając ją, sądzę, że tak nie robi, ale obawiam się, że będzie to wyjątek potwierdzający regułę). Moim zdaniem, w przypadku wyborów najgorsze, co można zrobić, to nie robić nic. Owszem, może faktycznie jeden głos dużo by nie zmienił, ale ja oddając go miałabym przynajmniej poczucie, że starałam się coś zmienić na lepsze. Podejrzewam, że gdyby zebrać i namówić do głosowania wszystkich albo większość tych, którzy zlekceważyli sprawę z podobnych powodów, co moja Mama, zebrałby się elektorat, mogący swoimi głosami zdziałać znacznie więcej. W tym momencie ktoś może zaprotestować i powiedzieć, że on uważa wszystkich kandydujących za nieodpowiednich do Parlamentu Europejskiego - co wtedy zrobić? Jak dla mnie – wybrać mniejsze zło. Czyli partię, która najmniej mu nie odpowiada. Nawet jeżeli nie zna konkretnych nazwisk, to przecież wystarczy postawić znaczek ze względu na partię, bo i tak jako pierwszy wchodzi politycy z początkowych miejsc na listach.

Polityka w Polsce jest w oplakany stan, jakby na to nie patrzeć. Ale jeżeli będziemy stać z założonymi rekami i usprawiedliwiać się znikomą wagą naszego głosu i zdania, to będzie jeszcze gorzej. Po prostu zjednoczmy się przeciw takim jak Lepper i Samoobrona. Kiedy obywatele Gujany Francuskiej zobaczyli, że według wstępnych przeliczeń głosów wybory prezydenckie we Francji wygrywa Le Pen (a jednym z jego postulatów wyborczych było „wyrzucenie” z Francji wszystkich „niefrancuzów”, czyli między innymi mieszkańców Gujany), jak jeden mąż ruszyli do lokali wyborczych. Frekwencja wyniosła 99%. I Le Pen nie wygrał. Po prostu.

ata

Szkola jako dobrze prosperująca firma?

Po co chodzimy do liceum? Na pewno większość odpowie: „żeby się uczyć, przygotowywać do matury”. Jak widzimy, szkoła ma spełnić określony cel. Wiadomo, że czasem różnie z tym bywa. Zdarzają się różne rzeczy sprawiające, iż jakiś nauczyciel nie może tego celu z określonymi uczniami realizować. Jeżeli jest to wina zbyt słabych uczniów, to zazwyczaj nie zdają oni do następnej klasy. Może to też być wina ich zachowania. W obydwu przypadkach kończy się to zazwyczaj zmianą szkoły.

Co jednak, gdy nauczyciel nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Każdy chyba zdaje sobie sprawę, że polska edukacja nie spełnia założeń i nie jest darmowa. Czy mamy w takim razie prawo wymagać określonych rzeczy od naszych nauczycieli? Wydaje mi się, że tak. Podobnie uważa też część nauczycieli (wliczając w to dyrekcje), którzy postanowili poprzez ankiety poznać opinie uczniów na temat sposobu i jakości nauczania. Bardzo podoba mi się to rozwiązanie, gdyż mam nadzieję, iż wyniki tych ankiet będą miały wpływ na kształt rady pedagogicznej w przyszłym roku szkolnym.

Czy jednak to właśnie uczniowie powinni mieć kluczowe zdanie w doborze i ocenie nauczycieli? Czy młodzież powinna decydować o dalszej karierze zawodowej czasem bardzo doświadczonych już pedagogów? Czy mamy do tego jakieś predyspozycje i moralne prawo? Powiem szczerze, że bardzo długo zastanawiałem się nad odpowiedziami na te pytania. Z jednej strony to właśnie uczniowie najlepiej wiedzą, co dzieje się na lekcjach, jak są one prowadzone itp. Z drugiej jednak strony należy pamiętać, że oceniamy osobę z dyplomem wyższej uczelni, która z pewnością wie, jak uczyć. Z jednej strony to my płacimy, a nauczyciele otrzymują wynagrodzenie. Z drugiej jednak są inne organy, oceniające pedagogów.

Może jednak powinniśmy pozbyć się skrupułów i brać na siebie ciężar oceny i decydowania o zatrudnieniu nauczyciela. W końcu szkoła ma przygotować nas do matury i studiów. Więc mamy dokładnie określony cel, dokładnie określone osoby, odpowiadające za jego wykonanie, i wreszcie samych zainteresowanych – uczniów. Przy obecnym poziomie bezrobocia nawet wśród nauczycieli nie jest chyba bardzo łatwo o pracę w dobrze wyposażonej szkole. Uważam, iż ta grupa zawodowa powinna podlegać podobnym prawom jak inne zawody. Jeżeli jakiś pedagog nie spełnia w wystarczającym stopniu zadań przed nim stawianych, powinien go zastępować inny, lepszy. Wtedy na pewno poziom szkoły byłby wyższy. A chyba o to właśnie powinno chodzić zarówno uczniom, jak i dyrekcji szkoły. Jedyne wątpliwości budziłaby chyba tylko ocena pracy nauczyciela.

Napisałem już o pewnych moich zamowieniach przed takim postępowaniem. Jednakże w liceum mamy już do czynienia z młodzieżą dorosłą lub prawie dorosłą. Jeżeli zachowywalibyśmy się poważnie i na miarę swojego wieku, myślę, że wtedy można by dopuścić możliwość oceniania przez nas pracy nauczycieli, co miałoby kluczowe znaczenie przy zatrudnianiu ich. Uważam, że jesteśmy na tyle poważni, by przy tej ocenie wyeliminować subiektywne sympatie i antypatie, a jedynie podejść do sprawy merytorycznie.

Wprowadzenie takiej oceny mogłoby sprawić, iż szkoła zmieniłaby się w instytucję, przypominającą dobrze prosperującą firmę. Na miejsce słabych pracowników przychodziłoby lepszy. To poprawiałoby poziom nauczania, a co za tym idzie i liczbę chętnych uczniów. W takiej sytuacji wszystko zaczęłoby funkcjonować jak najbardziej prawidłowo.

marcin

Juz nigdy nie bedzie czwartych klas...

To byly ostatnie czwarte klasy w historii Czackiego (chyba ze cudowny rzad prof. Marka Belki postanowi zreformowac po raz kolejny system edukacji). Chociaz nam, mlodszy, dane bylo znac je najwyzej dwa lata, to zdaje sie, ze zdazyliśmy sie przywiazac. Teraz wchodze do Szkoły, myslac: „rany, jestem tu najstarsza”. Az sie glupio robi.

Ten odchodzacy rocznik na pewno byl wyatkowy i powiedza tak i oni, grono pedagogiczne, i my, którzy jeszcze chociaz rok spedzimy w murach przy Polnej 5. Bedzie nam wszystkim brakowalo wielu usmiechnietych, mimo zmeczenia, twarzy. Bedzie brak tych utyskiwan na okrucienstwo nauczycieli wobec nich, maturzystów (teraz my bedziemy musieli wyrobic norme w zrzeczeniu, ale o to sie nie martwiecie). Bedzie (w sumie, juz jest) pusto na korytarzach szkolnych. A potem wrzesien, znów jakis dziki tłum szarych pierwszoklasistów (z calym szacunkiem dla klas 1-ych), których przez pierwsze pół roku nie bedziemy w stanie przyporzadkowac nawet do profili, a co dopiero nadac im imiona. I gdziezecie polezli, okrutni, zostawiajac nas na pastwie kolejnego roku szkolnego?

Jak my zorganizujemy Festiwal Teatralny? Stanowiliscie ponad jedna trzecia sekcyjnych, ale wiedza o Festiwalu nie dorównywal Wam nikt. Ilez to razy tłumaczylicie nam fizyke, matematyke? Ile wspanialych wieczorów spedzilismy razem, bawiac sie do bialego rana? Waszego wkładu w zycie Szkoły i nasze nie da sie nijak zmierzyc. To dzieki Wam na forum mozemy chwalic sie przed kandydatami niebywala atmosfera. Te niezapomniane Stozki, na których integracja miedzy rocznikami sprawiala tyle radosci. Za kazdym razem, gdy

wchodzilam do Szkoły, widzialam Was na korytarzach i czulam, ze jest dokladnie tak, jak byc powinno. Dlaczego tak juz jest, ze doceniamy dane nam dobro dopiero, gdy chca nam je odebrac?

Uroczystosc zakonczenia roku staralismy sie zorganizowac na miare Waszych zaslug. Chociaz nie dorównalimys im, to mamy nadzieje, ze pozostanie ona w Waszej pamieci na dlugo (w mojej na pewno). Ponad dwie

i pół godziny, z czego trzy czwarte poswiecone na nagradzanie wybitnych. Czyli prawie 120 minut na dziekowanie i wychwalanie Was, drodzy Maturzysci. Gdy patrzylam na



wchodzacych na podium po kolejne upominki, gdy wysluchiwalam różnego rodzaju statystyk, dotyczacych Waszych niezwyklych zdobyczy naukowych, przez mysl mi nie przeszło, ze po wakacjach nie zobacze Was znowu.

Byly wsród Was osobistosci naprawde wybitne i niepowtarzalne, choc niektórych nauczyciele zwali „złotymi dziecmi”, innych „porazkami pedagogicznymi”; za wszystkimi Wami tesknimy. Mamy nadzieje, ze Wasza przygoda z Czackim na tym sie nie zakonczy i ze nie tylko bedziecie nas odwiedzac, ale nadal bedziecie pomagac nam, biednym, mlodym, niedoswiadczonego licealistom. Do zobaczenia!

Zuq®

U p r a g n i o n e Z w y c i e s t w o !

Po 5 latach startów udalo sie! Reprezentacja Czackiego zdobyła złoto w rozgrywanych od 1994 roku Miedzylicealnych Regatach Wioslarskich.

Juz tradycyjnie startowaly trzy szkoły: II LO im. Stefana Batorego, XIV LO im. Stanislawia Staszica oraz my. Dotychczas nasi wioslarze zdobywali regularnie miejsce drugie (tylko w 1999, gdy rozpoczynala sie nasz przygoda z wioslarstwem, zajelismy trzecie). Tym razem najgorzej wypadł Staszic, tryumfator z roku ubiegłego.

Obecny sezon jest bardzo szczesliwy dla inicjatora startów Czackiego, a zarazem sternika naszej ósemki, Profesora Piotra Sambierskiego, prowadzacego takze zespól Uniwersytetu Warszawskiego, który trzy tygodnie temu pokonal reprezentacje Politechniki.

Regaty odbywaly sie, oczywiscie, na Wisle. Start, jak co roku, byl usytuowany pod mostem Lazienkowskim, a meta przy siedzibie Warszawskiego Towarzystwa Wioslarskiego - organizatora wyscigu.

Nasza złota ósemka, w skladzie: Marcin Abramowicz (4e), Grzesiu (2e), Pawel (Bizon 2e), Tomasz Hassa (4d), Mikolaj Kobos (2d), Franek (1), Maciek Miernecki (4d)



i Wojtek Sambor (4c), pokonała trasę w około 2 minuty 50 sekund (jak mówi ostatni z reprezentantów: "nie znam dystansu w metrach, ale to mniej więcej 100 pociągnięć"), dystansując Batorego o prawie dwie długości łodzi. Wielkim nieobecny okazał się Krzysiek Stefanek (4d), który nie zdążył na wyścig z powodu egzaminów na studia.

Jak dowiedziałem się od zawodników, Czacki miał nad przeciwnikami przewagę także dzięki nowemu sprzętowi, który rok temu zakupił Uniwersytet Warszawski. Lekka łódka "Stephen Lee" została sprowadzona z Wielkiej Brytanii i jest ona wyposażona w bardzo dobre wiosła z włókna węglowego.

Nasze Liceum oprócz złotego medalu zdobyło Puchar Burmistrza Warszawy oraz tort ufundowany przez sterniczki osady Staszica (czyżby od początku przewidywała przegraną...?).

Serdecznie gratulujemy osiągnięcia tak upragnionego zwycięstwa. Jesteśmy dumni i oczekujemy (tak, tak - teraz to "oczekujemy") powtórzenia sukcesu w roku przyszłym!

fh



KRÓLIKI

No bomba, korek. Szybkie spojrzenie na zegarek. Jest 17.01. Powinam już dawno być na miejscu, a przede mną jeszcze przynajmniej dwadzieścia minut jazdy. Upał, słońce grzeje, serce jeszcze wali po sprincie. Na dodatek – jak to w starym autobusie – nie ma czym oddychać. Umieram...

Pojazd ostro hamuje i po raz kolejny wpadam na stojącego przede mną chłopaka. Czuje okropny zapach potu. Drzwi otwierają się z sykiem. Po schodach wskakuje ciemnonoki punk. Bezcelnie oglądam jego imponującą kolekcję „kolczyków” – spinacz do papieru, agrafka i srubka. Jedyne, o czym myślę, to, w jaki sposób umieścił sobie te przedmioty w uchu.

Kolejny przystanek. Punk pomaga wgramolnić się na stopnie starszemu panu. Dziadek ma na sobie czapkę, zimowe buty i czarna kurtkę, która zwisa na jego drobnym ciałku. Odruchowo spoglądam przez brudną szybę na słońce. Nagle z siedzenia wstaje jakaś dziewczyna.

- Proszę, pan usiądzie.

Dziadek otwiera szerzej przyblakłe oczy i porusza w ustach sztuczna szczeka.

- Dziękuję, nie siadam.

- Skoro młodzież taka grzeczna, to ja skorzystam!!! – Słychać donosny głos z drugiego końca autobusu. Po chwili zostaje przez nią, jak i reszta pasażerów, stratowana. Kobieta Zmeczona usadawia swe pełne kształty na skórzanym fotelu, które jeszcze przed chwilą zajmowała Dziewczyna Kulturalna. Każdy zajmuje się swoimi myślami.

Nagle z półsnu wyrzywa mnie cichy głosik Dziadka.

- Ile ma pan lat? – Pytanie zwrócone jest do spoconego chłopaka.

Dwadzieścia siedem – pada odpowiedź.

Cisza. Upał. Kolysze na zakretach

- Ja, jak miałem dwadzieścia trzy, to wazyłem trzydzieści jeden kilo. Heh, usiąść teraz mogłem, ale gorzej byłoby wstać – Dziadek uśmiecha się do Kobiety Zmeczonej i porusza sztuczna szczeka. Ta chyba nawet nie zauważa. Po chwili dodaje z uśmiechem na twarzy:

- Bo ja byłem w obozie. Byłem w obozie... Gdyby nie amerykańskie, którzy w nocy wjechali czolgami, to nie rozmawialibyśmy teraz.

Czuje, jak krew odpływa mi z policzków. Konsternacja. Patrząc po twarzach: Punk, spocony chłopak, Kobieta Zmeczona, Dziewczyna Kulturalna... Wszyscy mają takie same miny. Nie tylko mnie zmroziło.

- Heh, jak dali nam taki kartofelek, w lupinach jeszcze, o! – tu stare, chude ręce zakreślają małe kółeczko w powietrzu – to wszyscy się radowali...

Po długim, niesamowitym momencie ciszy, pierwszy odzywa się donosny głos Kobiety.

- Musiał mieć pan silny organizm...

Matko, jak można w takiej chwili powiedzieć coś takiego?!

- Proszę?

- Nic, nic...

Upał, kolysanie. Cisza.

- A gdzie pan był? – Pyta Punk.

Czuje się jak w abstrakcyjnym filmie. Tak się skupiam na tym, że opadają mi kończyny górne, że w końcu nie słyszę, w jakim miejscu Dziadek rozbierali do naga przy pięciostopniowym mrozie i wyprowadzali na pietnastcie minut spaceru.

- Moja profesorka też była w obozie. Tyle, że gdzie indziej. Była królikiem doświadczalnym....

Szczeka już mi chyba niżej opasć nie może. Kogo to obchodzi?! Nie zdaję nawet pomysłu o beznadziejności tej kobiety, gdyż odzywa się niesmiało Dziadek.

Tam to wszyscy byli królikami...

-...Ale na niej testowali jakieś leki i u nas na wykładach zawsze wchodziła i mówiła „proszę państwa, trzeba otworzyć okna”... - Kobieta ciągnie wrzaskliwym głosem w stronę Dziewczyny Kulturalnej swoją opowieść.

Dziadek stoi. Stoi chwile, porusza szczeka i wychodzi na następnym przystanku. W czapce i zimowej kurtce. A wszyscy ludzie z autobusu żyją sobie dalej gapiąc się w podłogę, pachnąc potem i gadając o profesorowej.

Qska

FESTIWAL POEZJI

Cóż, przyznaje się bez bicia, że ostatnio w żadnym przybytku polskiej kultury nie byłam. Tak, wiem, to hanba. Ale wszystkiemu winna szkoła (jak zwykle, zreszta) - ja, jako wierny i bardzo solidny uczeń, zamiast szlajac się po kinach i teatrach, siedziałam w domu, ucząc się do klasówek. Z marnym skutkiem, zreszta, więc w sumie może lepiej było jednak pójść do tego kina...

Jednakże na ratunek moim kulturalnym i duchowym potrzebom przybył przypadek (a może raczej pewien zbieg okoliczności). A mianowicie Warszawski Festiwal Poezji im. Zbigniewa Herberta. O wszystkim dowiedziałam się z dodatku do Rzeczypospolitej, który sobie pewnego leniwego dnia najspokojniej w świecie leżała na stoliku koło sekretariatu naszej Szkoły. Ponieważ na stronie głównej widniało zdjęcie Zbigniewa Herberta, ja - jako wielbicielka poety całym sercem i duszą - porwałam egzemplarz (poza tym miałam nadzieję, że może być tam jakieś przydatne w mojej pracy twórczej na języku polskim interpretacje wierszy), by jego treść przyswoić sobie na którejś z nudniejszych lekcji. Interpretacji przeczytałam się jednej, ale za to pozwoliłam plan zaistnienia gdzieś, na którejś z licznych imprez w ciągu ogłaszanego przez dodatek festiwalu poezji. Myślałam o wypadzie do kina Luna na parę filmów dokumentalnych o Herbercie lub o spotkaniu z poetą Ryszardem Krynickim. Niestety, mój jakże ambitny plan nie powiódł się z powodów, wymienionych w akapicie pierwszym. Gazetę, oczywiście, zatrzymałam, na wypadek pilnej potrzeby zanalizowania "Trenu Fortynbrasa" Herberta.

Pisałam o ratunku dla potrzeb duchowych, ale gdzie on jest, skoro na żadną z zaplanowanych na festiwalu imprez nie poszłam. No właśnie, nie wiem, czy zauważyliście pewną małą zmianę w tramwajach i autobusach ostatnimi czasy. Jadący rano do szkoły uczniowie, na przykład, jeśli tylko dał rade podnieść opuchnięte powieki znad książki do... (wpisać właściwe), mógł natknąć się wzrokiem na przyklejony do szyby wiersz Herberta, Krynickiego, Julii Hartwig i innych. Krótki wierszyk na szybie, bez przymusu, kto chce, niech czyta - dla mnie rewelacja. Jasne, że zatłoczony autobus nie sprzyja kontemplacji poezji, ale przeczytanie paru krótkich linijek może być miłą odmianą od monotonii jazdy. A może (tu już raczej marzę, ale to chyba słabość każdego człowieka) ktoś taki tekścik poetycki natchnie do dalszego i już w bardziej sprzyjających warunkach (własny pokój, fotel, herbatka, koczek) czytania literatury pięknej?

Poezja w autobusie - tak, to brzmi dość dziwnie, ale (moim zdaniem) to dowód na to, że dla niej wszędzie znajdzie się miejsce, a właściwie chyba lepiej byłoby napisać - powinno się znaleźć. To też może być pewna przestroga, żeby środki komunikacji miejskiej nie stały się tym jedynym miejscem, gdzie w ogóle mamy czas cokolwiek poczytać. Tłok, korek, zmechanienie, zirytywanie, a nad tym wszystkim - Mickiewicz; czy to jednak nie brzmi dumnie?

ata

Ooo! Tak, ja też jestem zachwycona pomysłem na rozpowszechnianie literatury pięknej nawet w ten niegodny sposób. Moim faworytem na razie jest Ryszard Krynicki z wierszem "Któż go nie ma". Dla mnie genialny!

zuq

"WSPÓŁCZESNE DZIEŁA SZTUKI...?"

W Zamku Ujazdowskim miałem okazję obejrzeć nietypową wystawę. Były tam prezentowane prace artystów, którzy są przedstawicielami sztuki współczesnej. Muszę przyznać, że poszedłem tam z czystej ciekawości. Nigdy nie byłem na tego typu wystawie, a te urywki, które widywałem w telewizji, stanowczo mi nie wystarczały.

Z iskierką w oku wszedłem po schodach. Pierwsze, co mnie uderzyło, to chłód i pustka pomieszczeń. Zwykle białe ściany, kamienna podłoga i żadnych dywanów czy ornamentów. Obrazy zostały powieszony w dość dużych odległościach jeden od drugiego. Sprawiało to wrażenie braku odpowiedniej ilości eksponatów jak na tak dużą powierzchnię sal Pałacu Ujazdowskiego.

Przejdźmy jednak do konkretnych, czyli do samych prac. Co tu dużo mówić. Wystawa już na samym początku wydała mi się bardzo abstrakcyjna. Nie wszystko do mnie trafiało. Część dzieł w ogóle nie byłam w stanie nazwać. A podpisy pod nimi wydawały mi się po prostu śmieszne! Trudno było się zorientować, co one przedstawiają. Zapewne autorom zależało na tym, bym jako zwykły człowiek przystanął i przez chwilę się zastanowił, co chcieli nam przekazać, gdy tworzyli te prace. Jednak mi coś takiego nie odpowiada. Nie lubię gdybania "a co to jest? a po co to jest?". Zdecydowanie wole widzieć, na co patrzeć. W sztuce lubię podziwiać formę, a nie zastanawiać się nad treścią.

Większość prac na tej wystawie w ogóle nie przedstawiała żadnej treści, a forma pozostawiała wiele do życzenia. Jako przykład można podać obraz pt. "Asymetria". Plótno wymiarów 2x1m zamalowane całkowicie na czarno, ale po zbliżeniu się można zauważyć, iż prawa część jest trochę jaśniejsza. Hmm... Czy to jest cały "bajer" tej pracy? Super! Nie ma to jak zmarnowanie dużej ilości ciemnych farb.

Następny przykład to obraz, przedstawiający na czarno-białej szachownicy rozrysowane białe-czarne znaki zapytania. Domyslałem się, że są one skierowane do nas, ale po co?! Ja na pewno nie jestem w stanie na nie odpowiedzieć.

Kolejna praca to kamienie. Były one poukładane na podłodze. Gdyby chociaż tworzyły jakąś całość czy obraz. Szukałem, chodząc dookoła nich, ale nic nie znalazłem. Porzucanie kamieni to przecież nie jest sztuka! Każdy z nas może przejść się na pole i nazbierać małych głazów. Jednak żaden z nas nie pójdzie z nimi do Pałacu Ujazdowskiego i nie podpisze się przy nich swoim nazwiskiem, myle się?

Ostatnia praca, jaką chciałem skomentować, to 6 fotografii, przedstawiających tego samego mężczyznę w różnym wieku. Mniej więcej od 30 do 70 roku życia. Niewątpliwie widac tutaj zmiany, jakie zachodziły w wyglądzie tego człowieka. To może i jest ciekawe, ale przecież każdy z nas może wziąć do ręki rodzinny album i zobaczyć, jak nasi rodzice czy dziadkowie zmieniali się z biegiem lat.

Z wystawy wyszedłem bardzo zawiedzony. Wszystko, co tam zobaczyłem, nie spełniło moich oczekiwań co do sztuki współczesnej. Spodziewałem się czegoś pięknego, z polotem, a zastałem coś, czego nigdy nie nazwałbym dziełami sztuki. Zdecydowanie wole podziwiać dzieła Matejki czy Canaletta. Wam jednak proponuję wybrać się na tego typu wystawę i samemu to ocenić. Pozdrówka!

siemas

DROGA ALINA...

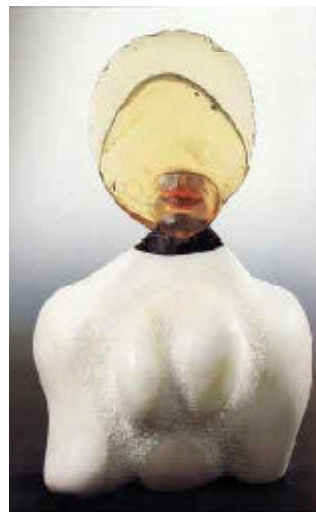
Alina Szapocznikow urodziła się w 1926r. w Kaliszu, zmarła w 1973 r. w Praz-Coutant we Francji (chorowała na raka). Podczas okupacji mieszkała w Pabianicach, lata 1940-1942 razem z matką spędziła w tamtejszym getcie. Stamtąd trafiła do getta łódzkiego, a następnie (przez Auschwitz) kolejno do obozów w Bergen-Belsen i czeskim Teresinie. W latach 1945-46 praktykowała w praskiej pracowni Otokara Velimskiego oraz studiowała w Wyższej Szkole Artystyczno-Przemysłowej w Pradze pod kierunkiem Josefa Wagnera. W 1947 roku wyjechała do Paryża, gdzie w latach 1948-50 uczęszczała do Ecole Nationale Supérieure des Beaux-Arts w Paryżu, studiując w pracowni Paula Niclausse'a.



Po przyjeździe do Polski w 1951 r. brała czynny udział w lokalnym życiu artystycznym, stając do konkursów na pomniki: Chopina, Słowackiego, Bohaterów Warszawy, upamiętniający ofiary Oswiecimia. W roku 1963 przeniosła się na stałe do Francji. W Paryżu włączyła się w nurt twórczości Nouveau Réalisme ("nowego realizmu"), któremu przewodził krytyk Pierre Restany.

Na wystawie znalazło się wiele prac Aliny. Jednak, jak się później dowiedziałam, był to tylko ułamek jej bogatej twórczości. Myślę, iż nie ma sensu wypisywać tu całego zbioru Galerii IRSA, gdyż każdy musi zobaczyć to na własne oczy, tak więc skupię się na kilku pracach, które jakos szczególnie zapadły mi w pamięć. Były to przede wszystkim wszystkie dzieła z serii „Krocących ust”. Te niesamowicie pomysłowe rzeźby warg ludzkich, umieszczonych na podłużnej podstawie, zadziwiali i przykuwały uwagę swoim wykonaniem. Inna ciekawa praca, a właściwie dwiema, były: „Spółgłoska” (1962) i „Samogłoska” (1962). Występujące w parze, stojące po przeciwnych stronach pomieszczenia, nasunęły mi pytanie: czemu takie nazwy? Chodziłam potem po galerii i nie mogłam przestać myśleć na ten temat. Równie interesującymi pracami były: „Portret wielokrotny (dwukrotny)” (1967), „Okragła” (1968) czy „Fajrant” (1971). Generalnie wszystkie dzieła Aliny Szapocznikow miały w sobie to coś, co przyciąga i sprawia, że chce się na nie patrzeć. Zdziwiała różnorodność materiału (od kamienia przez metal i tkaniny do tworzyw sztucznych) oraz wykonania: od właściwie ledwo obrobionych kamieni, przez takie z dopracowanym każdym detalem, do odlewów ciał. Możliwe, że niezrozumianymi bądź niedocenionymi przeze mnie pracami były: „Autoportret I” (1966), „Fetysze I”, „Fetysze V” (1970-71) czy „Szalona biała naręczona” (1971). Jakos nie przypadły mi do gustu. Nie dlatego, że były obraźliwe czy nieestetyczne, bo takie zdecydowanie nie były. Po prostu jest to tylko i wyłącznie ocena moich odczuć. Innymi „dziełami”, które jakos niespecjalnie mi się podobały, były szkice Aliny Szapocznikow, które wykonywała przed rozpoczęciem pracy nad każdą rzeźbą. Wyglądały one jak nakreślone w mniej niż pięć minut (tak też zapewne było, jako że to szkice), a osiągały zawrotne, według mnie, ceny, których może nie będę przytaczać.

Cała wystawa tak średnio mi się podobała, właśnie z powodu cen. O tyle, o ile za wejście do Galerii IRSA nie trzeba było płacić, to zmuszeni byliśmy do ciągłego poznawania zawrotnych cen dzieł Aliny Szapocznikow. To trochę zaburzało moje odbieranie jej twórczości, a po jakimś czasie po prostu irytowało. A irytowało już zwłaszcza wtedy,



gdy z tą ceną absolutnie nie mogłam się zgodzić. Tak było w przypadku kilku rzeźb (wartość dwóch niezłej klasy samochodów) i wszystkich szkiców. Dodatkowo chodziła za mną bardzo nieufna pani z obsługi wystawy. Nie wiem, możliwe, że wyglądałam jak ktoś, kogo nie stać na wydanie takich ogromnych sum, jednak chyba nie wyglądałam jak złodziejka czy wandalka, przynajmniej mam taką nadzieję. Tak więc, sumując: mimo że prace Aliny Szapocznikow generalnie są bardzo ciekawe, to wystawę

chciałam jak najszybciej opuścić, właśnie przez atakujące mnie ceny i natrętną panią, która non stop patrzyła mi na ręce.

Wystawa czynna do 31 lipca 2004.

Galeria IRSA Fine Art

ul. Krakowskie Przedmieście 33

otwarta w godzinach: poniedziałek-piatek: 11.00-19.00

sobota-niedziela: 11.00-17.00

aneta

SHREK 2

Drugiego lipca czeka nas premiera kontynuacji genialnej w oczach Polaków komedii animowanej „Shrek”. Nie chcąc pisać o powietrzu, wybrałam się na przedpremierowy pokaz w wersji angielskiej (wszystko rozumiałam, nie chwalać się) i muszę przyznać, że druga część jest warta polecenia. Chyba nawet wybiore się na kolejną prapremiere, z tym, że już z dubbingiem (spektakle w srody w Multikinie, trzeba bardzo wcześniej rezerwować bilety).

Tym razem bohaterowie pierwszego „Shreka” wybierają się w odwiedziny do królestwa (Far, far away), należącego do rodziców Fiony, u których chcą uzyskać błogosławieństwo. Wiele zabawnych sytuacji, oczywiście, głównie za sprawą Osla (notabene, nie mogę wprost się doczekać, gdy usłysze głos Stuhra z jego „ust”). Scenariusz na miarę Shreka, chciałoby się rzec; zgrabne dialogi, momentami cięty, kiedy indziej „ogrowaty” dowcip. Tekst do dubbingu tłumaczył znów Bartosz Wierzbiet, bardzo młody (29 lat) polski tłumacz, który zrobił zawrotną karierę dzięki tłumaczeniom popularnych kreskówek: „Krowa i kurczak”, „Johny Bravo”. Obecnie trzyma monopol na zagraniczne produkcje animowane, jak: „Shrek”, „Uciekające Kurczaki”, „Lilo i Stitch”, „Asterix i Obelix: Misja Kleopatra”. To dzięki niemu możemy „rzucić” tekstami w stylu: „stary, zainwestuj w tictac'i, bo ci jedzie!” albo „mam smoka i nie zawaham się go użyć”.

Zapewne Shrek 2 także będzie źródłem wielu nowych frazeologizmów, które na stałe wejdą do słownika młodych. Tak więc, jeżeli chcecie być na czasie, musicie obejrzeć ten film!

Zug®

Zeglarskie swieto w Kilonii

Od 19 do 26 czerwca w Kilonii odbywaja regaty i wielki zlot Zaglowców, polaczony z cyklem różnorodnych imprez. Od lat uczestniczy w nich także "Fryderyk Chopin". Podczas jednego tygodnia do Kielu przyjeżdża około 3,5 miliona turystów, którzy, oprócz zwiedzania statków, mogą uczestniczyć w jednodniowych rejsach.

Historia "Tygodnia kilonskiego" jest bardzo stara i sięga roku 1871. Już wtedy miasto było jednym z kluczowych niemieckich portów (obok obraz z tamtego okresu).

Przez lata zloty stały się tradycją, rozwijały się i "obrastaly" w wiele dodatkowych atrakcji. W świecie regatowym "Kieler Woche" jest kojarzone przede wszystkim



z największą na świecie impreza regatowa. Od lat organizowane są tu wyścigi - dla amatorów oraz dla zawodników. W tym roku organizatorzy przewidują rywalizację 5000 zawodniczek i zawodników z 50 krajów na 2000 łodziach

i deskach windsurfingowych. W ciągu 9 dni na 10 trasach planowane jest przeprowadzenie 420 wyścigów w 29 klasach - nieolimpijskich (19-22 czerwca) i olimpijskich (23-27 czerwca). Trzeba zauważyć, że wiele razy sukcesy odnosili tu Polacy.

Przez swiatek regatowy "Kieler Woche" jest nazywany "zeglarskim Wimbledonem". W tym roku Tydzień odbędzie się po raz 122.

Corocznie odbywa się tu tzw. "Rynek międzynarodowy", na którym prezentuje się wiele państw, oraz "Międzynarodowe Forum Miast", gdzie włodarze europejskich miast portowych dyskutują nad rozwojem i zacieśnieniem współpracy.

Trzeba także zauważyć, że impreza w Kilonii jest nie tylko wielką swoją ponadstuletnią tradycją oraz wielomilionową grupą odwiedzających turystów, ale także ilością statków, które przypluwają tutaj, żeby się zaprezentować, zarobić czy nawiązać cenne kontakty.

Dla prównania przypomnę, że na największym zlocie Zaglowców, jaki Polska kiedykolwiek widziała, czyli zeszłorocznym Cutty Sark Tall Ships Races 2003 w Gdyni, pojawiło się tylko 11 tych największych Zaglowców klasy A (ponad trzy razy mniej niż w Kilonii), a Gdynie odwiedził wówczas "tylko" milion ludzi (czyli także ponad trzy razy mniej).

Na Kieler Woche, oprócz "Chopina", często pojawia się "Pogoria", "Iskra", "Kapitan Glowacki" oraz "Dar Młodzieży". One także przez siedem dni pływają w jednodniowych rejsach, prezentując niemieckim turystom piękno Wielkich Zagli.

m.:)ateusz potempski

"KOCIE" DWA SŁOWA O WIECZORKACH SZANTOWYCH

Przed nami kolejny, już 13 Wieczerek Szantowy. Mimo ponad rocznej historii tych spotkań nikt ich jeszcze nie opisał. Spróbujcie zeglarzom i szczerom ładowym uchylić rabka tajemnicy, by następnym razem, widząc napis "Wieczerek Szantowy", nie pomysłeli, że to nie jest impreza dla nich.

Wieczorki są dla wszystkich: zeglarczy, zarówno morskich

jak i śródlądowych, oraz "nie-zeglarczy", którzy pragną się wysławiać lub tylko posłuchać piosenek zeglarskich. Na gitarach grają głównie Złoty i Siersciuch, choć zazwyczaj (a szczególnie ostatnio!) gitar jest więcej. Czasami można też spotkać Kleme, grająca na skrzypcach, czy Adasia na harmonijce...

Ale może zaczniemy od początku.

Startujemy już od godziny 19.00 najczęściej w sali nr 21 na II piętrze w Czackim przy ulicy Polnej 5. W sali rozsuwamy stoły (aby było miejsce do siedzenia na podłodze), oświetlamy ją świeczkami, rozkładamy koce i rozwieszamy liny, koszulki Zaglowców, flagi i bandery. Zgaszone światło i pozasłanianie okna sprawiają, że na ogół zimna lekcyjna sala staje się na jeden wieczór przytulnym gniazdem zeglarczy. Zaczynają schodzić się ludzie, słychać strojenie gitar i głosów... rozbrzmiewa pierwsza tego wieczoru szanta.

Potem kolejna i kolejna... i tak aż do 23.00, kiedy to trzeba powoli zacząć się zbierać do domów - zdążyć na ostatnie metro. Cichnie wtedy zeglarska piosenka, ale, na szczęście, tylko na kilka tygodni...

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Zapaleni zeglarze mogą

powspominać rejsy i przypomnieć sobie wakacyjne przygody. Poznaje się tu dużo ciekawych ludzi. Można z nimi zacząć wspólnie zeglować. Można przynieść zdjęcia i po prostu chwalić się swoimi podbojami. Można śpiewać (a śpiewają wszyscy!) i codzienny świat zostawić za drzwiami. Można usiąść gdzieś w kacie i tylko słuchać... możliwości są nieograniczone!

Naprawdę jest to niezapomniany wieczór! Atmosfera, śpiew, przyjaciele... to trzeba przeżyć samemu.

Mam nadzieję, że spotkamy się na następnym wieczorku. Do zobaczenia.

Ahoj!

kot

Teksty Nauczycieli

+ „Przyniescie mi na następną lekcję sznur, to się publicznie powiesze” – p.prof. Olech

+ „To słychać na pierwszy rzut oka” – p.prof. Szwed

+ „O nalożnicach i innych przyjemnościach małżeńskich porozmawiamy później” – p.prof. Chruszczewska

+ „Pilka jest dla mnie zbyt okrągła” – p.prof. Zdrzyłowska

+ „Powiedz pani w muzeum, że przyjdziemy w 20 osób, a my i tak najdziemy ich w 30” – p. prof. Bras

+ „Mogli je również sprawować cudzoziemcy, jeżeli pochodzili z obcych krajów” -jw.

+ „Trzeba się nauczyć tych wzorów albo mieć je na malej, względnie dobrze ukrytej karteczce” – p.prof. Koszycka

+ „Wodór spala się do wody, siarka do dwutlenku węgla” – p.dyr. Elmerych-Kuran

Spisali: Marcin, svistak i zuq

"Kashela i pierścien Seta"

Ciemna postać wynurzyła się zza mrocznego zaułka i szybko przebiegła na drugą stronę oświetlonej ulicy. Po chwili za nią podążyły cztery następne "cienie". Poruszali się zwinnie i bezszelestnie przez siatkę ulic Shadizaru-miasta złoczyńców, gdzie każdy bogacz tracił swą fortunę na ochronę przed złodziejami, a owi tracili świeżo zdobyte majątki w niezliczonej liczbie karczm w osławionej dzielnicy rozkoszy.

Piec "zjaw" przyspieszyło kroku na ostatnim odcinku ulicy, która kończyła się szerokim i wysokim murem. Było to dziwne miejsce. W samym środku dzielnicy biedoty "wciety" był ogromny teren, otoczony potężną fortyfikacją. Mało było w Shadizarze osób, które mogłyby powiedzieć, co to za miejsce. Niektórzy opowiadali, że to siedziba potężnego niegdyś, ale podupadłego rodu, który wybrał wygnanie niż życie w upokorzeniu z powodu jakiegoś tajemniczego zbrodni z przeszłości. Inni powiadali, że za tym murem mieszka samotnie człowiek, który posiadając niezliczone bogactwa, utracił ludzkie uczucia i ongiś w furii zabił swego jedyne syna. Teraz, pogrążony w rozpacz, samotnie pokutuje za swoją zbrodnię. Raz na jakiś czas odwiedza go wierny sługa, który przynosi jedzenie. Nikt jednak nie widział, aby ktos wszedł do środka tej mrocznej budowli i wyszedł z niej żywy.

Byli jednak w Shadizarze osoby, które wiedziały, co naprawdę kryje się na tym tajemniczym terenie. Ta wiedza kosztowała majątek i wymagała poderznięcia wielu gardel, ale była warta swej ceny w każdym calu. Dawno temu, w czasach, które pamiętają zmierzch mrocznej cywilizacji Acheronu oraz triumf Hyboryjczyków i ich boga Mitry, Zamora i jej stolica Shadizar znalazły się pod panowaniem nowej cywilizacji. Wszystkie miejsca kultu acheronczyków zostały zniszczone, a ich kapłani wymordowani. Tylko wyznawcom jednego boga udało się przetrwać zagładę. Wierni mrocznego weza Seta wynaleźli sposób na oszukanie hyboryjskich "inkwizytorów". Jeden z bogatych wyznawców ofiarował swoją wille na nową siedzibę dla świątyni, a ponieważ zajął ważne miejsce w nowej administracji zdobywców, jego dobra były poza podejrzeniem. Od tego momentu wierni ukrywali się na tym terenie, a wiedza o ich bytności pozostała tajemnicą przeznaczona tylko dla wtajemniczonych kapłanów piątego stopnia z jedyne kraju, który przetrwał upadek dawnego imperium i rozpoczął samodzielne istnienie-Stygii, ojczyzny wyznawców Seta.

Toth-Amon, najwyższy kapłan tego kultu, który stał się tak potężny, iż dostąpił zaszczytu kontaktu ze swym panem, otrzymał od Seta pierścien, który zwiększył jego moc do niewyobrażalnych rozmiarów i pozwolił mu zmiąć wszystkich swoich wrogów na chwale swego mocodawcy. Ten potężny mag przybył do Zamory, aby w zapomnianej świątyni badać stare inskrypcje potężnych magów Acheronu, które przetrwały w tym miejscu wieki. Jego przybycie nie pozostało jednak niezauważone. Grupa śmialków, złożona z najslawniejszych i najlepszych złodziei Shadizaru, zdecydowała się na najtrudniejsze zlecenie, jakie złodziej mógłby otrzymać-kradzież pierścienia Seta.

Włamywacze podbiegli do muru. Naprzód wysunęła się kobieta. Uniosła w górę ręce i wymamrotała kilka słów, których te strony nie słyszały od czasów upadku Atlantydy. W chwili potem najwyższy i najsilniejszy z włamywaczy zarzucił linę z hakiem na zwieńczenie fortyfikacji. Upewniwszy się, że powróż jest dobrze zamocowany, przepuścił swoich towarzyszy i jako ostatni wspinał się na górę. Po drugiej

stronie ich oczom ukazała się mocno zarosnięta łąka. Krzewy i trawy wysokości półtora metra zasłaniały całą przestrzeń od muru do centralnie umiejscowionego palacu. Cała piątka pozostała w nerwowym i napiętym bezruchu. W końcu niski mężczyzna podczołgał się do jedynej kobiety w kompanii:

-I co? Jest bezpiecznie? Możemy iść?- wyszeptał przedko. Dziewczyna jednak nie odpowiadała, pozostając zahipnotyzowana poprzez poruszające się trzciny mrocznego ogrodu.

-Na brode Tarima! Kashela, ocknij się! Możemy iść?-powtórzył swoje pytanie stanowczo, potrząsając jej ramie.

-Co?-wyrwała się z odurzenia-Ee...Tak. Idziemy. Nie wyczuwam obecności żadnych demonów.

Niski złodziej odetchnął z ulgą i dał znak reka pozostałym, aby poruszali się za nim. Poczł się pewniej po zapewnieniu młodej adeptki czarów. Była tylko jedna rzecz, której on, Shevatas, król złodziei, obawiał się-czary i demony, przeciwko którym zimna stał jego sztyletu była bezużyteczna. Właśnie po to dołączył do swojej stałej drużyny te młoda czarownice-Kashele. Zazwyczaj radzili sobie w czwórce-on i jego trzej współnicy: Ogdar, potężny Hyperborejczyk, mocarz, jakich mało, Yezdar, szczyplwy i zwinny Turancyk, z lukiem obchodzący się jak mało kto, oraz Hatmer, wspaniały jeździec z Iranistanu, najszybszy szermierz, jakiego Shevatas widział, a był już świadkiem niejednego. Jednakże to zlecenie wymagało także sprawności magicznej. Drogi do pierścienia pilnuje podobno wiele demonów, nie mówiąc już o samym Toth-Amonie. A młoda Hyrkanka znalazła ponoc wiele zakleć, niwelujących działanie ciemnych mocy, które poznała w czasie wielu podróży, odbytych na daleki nieznanym wschód. Wic jeżeli Kashela uznała, że droga wolna, on, Shevatas, skoncentruje się już tylko na tym, co potrafi najlepiej, czyli opróżnianiu skarbców i szkatul.

Sama Kashela była jednak przerażona.-Jakas ciemna siła wciąż krąży nad nami. Wyczuwam ją, ale nie mogę zidentyfikować-myslała wciąż gorączkowo.-Po co godziłam się na te wyprawę. Z tego nie wyjdzie nic dobrego.

Poruszali się przez cały czas powoli poprzez wysoką trawę. Starali się nie tracić odstepu kilku kroków, aby wzajemnie się ubezpieczać. Ostatni postępował Ogdar. Usłyszał szmer w odległości dziesięciu metrów, coś jakby cichy syk. Skóra mu scierpła na myśl, co mogłoby wydawać takie odgłosy. Odwrócił się i przyspieszył kroku, aby nie stracić z oczu drużyny. Po chwili syk powtórzył się, tym razem znacznie bliżej. Hyperborejczyk powoli odwrócił głowę do tyłu i w momencie, gdy spojrzł za siebie, zdążył tylko wydać z siebie urwany wrzask, zanim paszcza z klami ogromnego pytona zamknęła się na jego głowie.

-Co to było?-szybko zapytał Hatmer.

-To brzmiało jak urwany krzyk-stwierdził

Shevatas.-Gdzie Ogdar?

Najszybciej na to pytanie odnalazł odpowiedź Yezdar. Wyjawszy dwie strzały z kolczanu i przygotowując cieciewe, pobiegł z powrotem. Gdy dobiegł do miejsca, skąd doszedł ich dźwięk, ujrzał ogromnego weza, przygotowującego się do wchłonięcia głowy Ogdara. Natychmiast posłał jedną strzałę w szyję potwora, automatycznie nakładając drugą. Gdy pierwsza wbiła się poniżej głowy, wąż zasyczał przeciągle i skierował swą uwagę i furie ku nowemu przeciwnikowi. Uprzedzając atak, Yezdar wystrzelił ponownie, tym razem trafiając w głowę poniżej oczu. Gwałtownie zaczął wyczuwać ból, ale był jeszcze pełen energii, a to w połączeniu z napadem furii dawało pewność, że nie jest to jeszcze jego ostatnie słowo. W chwili, gdy Turanczyk sięgał po następną strzałę, zza jego ramienia wyskoczył Hatmer i zataczając szeroki łuk swym sejmitem, zadał mocne cieciewe w szyję potwora, prawie odrabując mu głowę. Czerwona posoka gwałtownie polala się z tej rany, a python bezładnie opuszczał swe ciężkie cielsko na ziemię, wydając z siebie ostatnie tchnienie.

Hatmer podbiegł do Ogdara, by sprawdzić, czy jeszcze żyje. Przeczycząc ruchem głowy dał znak Yezdarowi, że przybyli za późno.

-Przynajmniej ubiliśmy jednego z tych pomiotów Nergala. Teraz będzie spokój-szczerząc się, powiedział Hatmer. Yezdar także uśmiechnął się na te myśli.

Te chwile radości przerwało nagle poruszenie się trzcin. Mężczyźni znieruchomieli. Wtedy z dwóch stron rzuciły się na Hatmera dwa jeszcze większe pytony. Jeden oderwał Iranistanczykowi ramię, a drugi wbił swe kły w tułów mężczyzny. Złodziej wydał z siebie przeraźliwy krzyk. Przerazony Turanczyk sięgnął po strzałę, ale jego ręka złapała coś, zanim dotarła do kolczanu. Serce w nim zamarło. Uspokoił się, słysząc głos Shevatas:

-Zostaw go! Tamten obszary potępieniec ma zapewne więcej znajomych w tych przeklętych trzcinach. Wszystkich nie ubijemy. Kashela dotarła już do wejścia, w nogi!

Yezdar przytaknął i ruszył biegiem za swym hersztem. Liczyło się tylko zlecenie. Hatmer i Ogdar spotkali się z przeznaczeniem, które czeka każdego złoźcę. Dzięki nim będzie więcej łupów do podziału, a każdy niech martwi się o swoje życie.

Tak tłumacząc sobie to zdarzenie, włamywacze pozostawili za sobą mrozące krew w zylach odgłosy uczt.

Wybiegli wreszcie z trzcin na otwartą przestrzeń. Ujrzeni otwartą bramę i Kashelę, która ręka popędzała ich do szybszego biegu. Ogromny zwalasty budynek zapraszał ich do środka. Ale mroczna i przerażająca atmosfera tego miejsca nie przekonywała o przyjacielskim charakterze tych zaprosin. Usłyszeli ryk, dochodzący zza ich pleców, i pedzeni panicznym strachem wbiegli do ciemnej komnaty, a Hyrkanka zawarła drzwi tuż za nimi. Dotarli wreszcie do środka.

Pierwsze kilka chwil poświęcili na złapanie oddechu. Następnie Shevatas zapalił uprzednio przygotowaną pochodnię. Oswietliła ich najbliższe otoczenie, ale jej blask kończył się po kilku krokach. Dalej pozostawała nieprzenikniona ciemność.

-Co teraz?-spytał Yezdar.

-Kashela?-pytając dodał Shevatas.

-Mag wraz z pierścieniem znajduje się na ostatnim piętrze-oznajmiła. -W wypadku tego budynku to będzie trzeci piętro-dodała po chwili.

-No dobra. Poruszamy się przy ścianie, aż odnajdziemy schody. Ja prowadzę, Kashela za mną, a Yezdar ubezpiecza tyły-zarządził Shevatas, a Turanczyk przelknął

powoli słynę na wspomnienie ostatniej osoby, która pełniła jego funkcje.

Powoli ruszyli. Herszt oświetlał ściany, poszukując przejścia na następne piętro. Odnalazł przerwy w ścianie i nakazał towarzyszący, aby podążyli za nim. Znajdowali się teraz w klatce schodowej. Stopnie były bardzo wysokie i mokre, więc łatwo było o upadek. Poruszali się powoli i ostrożnie. Przez cały czas słychać było ciche mamrotanie, unoszące się z góry. Nie miało ono konkretnego znaczenia, ale przez cały czas wibrowało w głowie, jakby miało zahipnotyzować włamywaczy. Po jakimś czasie dotarli wreszcie na samą górę i skreśliли w długi korytarz. Zawodzenie stało się wyraźniejsze. Bedac blisko celu, zwolnili tempa. Im dalej szli korytarzem, tym mamrotanie stawało się bardziej meczące. Wreszcie około dziesięciu metrów przed sobą po prawej ujrzeni wejście do komnaty. Stamtąd dochodziło światło i zawodzenie. Kashela zatrzymała Shevatasę i przywołała Yezdara. Gdy zbliżyli się, wyszeptala:

-Czuje zapach czarnego lotosu. Ten kwiat ma ogromną czarodziejską moc. Na zwykłego człowieka działa jak narkotyk i jest przy tym bardzo silnie trujący. Obwiążcie szmatami głowy tak, aby zakryć przede wszystkim nos. To powinno zmniejszyć działanie narkotyku. Po ominięciu tej komnaty będziemy już mogli normalnie odetchnąć.

Uczynili według rad dziewczyny i ruszyli dalej. Omijając komnatę, ujrzeni ogromne pomieszczenie, w którym znajdował się wielki posąg weza, przypominającego te z ogrodu, tylko jeszcze szkaradniejszy. Z nozdrzy tego gada wydobywał się opar, wprawiający w stan upojenia kilkudziesięciu akolitów, którzy, kłęcząc, prowadzili dalej swoją deliryczną inkantację. Włamywacze omineli to zawodzące zgromadzenie i udali się wprost do polyskujących drzwi na końcu korytarza. Przed wejściem Shevatas jeszcze raz zapytał Kashelę:

-Czy wyczuwasz obecność jakichś demonów za tymi drzwiami? Czy możemy iść dalej?

Dziewczyna westchnęła i odparła:-Za tymi drzwiami drzemie potężna moc. Na razie jest w stanie spoczynku i nie pilnuje jej zaden nadprzyrodzony strażnik. Możecie wejść, ale niech Mitra nas chroni, jeżeli ta siła się zbudzi.

-To chciałem usłyszeć-wyszczerczył się w uśmiechu herszt.-Yezdar, ubezpieczasz mnie.

Dwie postacie wślizgnęły się do środka. Cały pokój był zaciemniony, tylko w kilku miejscach paliły się świece, dając nienaturalne zielone światło. Shevatas odnalazł wzrokiem lożę maga i skonstatował ze spokojem, że gospodarz domu się w nim znajduje. Na chwilę jednak zamarł, gdy ujrzał, iż Stygijszyk ma otwarte oczy. Chwile zabrakło mu przekonania się, że Toth-Amon znajduje się w stanie medytacji i, tak jak w czasie snu, jego zmysły są trochę przytępione. Co nie znaczy wyłączony, ale z tego faktu Shevatas doskonale zdawał sobie sprawę. Złodziej począł następnie szukać głównego celu wyprawy i odnalazł go, spoczywający na czerwonej poduszce w odległości dwóch metrów od wezgowia łóżka czarownika. Piersien wyglądał wspaniale. Włamywacz ostrożnie zakradł się do niego i delikatnie złapał go palcami, bacznie obserwując, czy w zachowaniu czarownika nie zachodzą zmiany. Nadal był on pogrążony w stanie medytacji. Shevatas złapał klejnot i przyjrzał mu się. Obrączka wykonana była z najprzedniejszego rodzaju złota, jakie widział w swej karierze, pozbawiona była jednak dodatkowej ornamentyki. Zakńczona była paszczą weza, który wgryzał się w błyszczący niebywałym światłem zielony klejnot. Twarz gada wyglądała jak żywa i Shevatas nie mógł się powstrzymać od wpatrywania się w nią. Nagle oczy weza zabłysły i wydał z siebie syk.

Złodziej westchnął z przerażeniem. Wystarczyło to, aby zbudzić magika, który wytracony ze stanu skupienia, w którym nawiązywał kontakt ze swym panem, wstał i zaklął:

-Na kiel Seta! Jak śmiecie, śmiertelnicy, zakłócać mój święty spokój!

Wykonał następnie kilka gestów i wskazał dłoń na przerażonego Yezdara. W tym momencie na biednego Turanczyka spadł z sufitu cien, który wnikał w jego ciało. Wtedy Toth-Amon krzyknął, zamykając dłoń:

-Na chwale Setowi!

Shevatas jeszcze nigdy nie słyszał, aby człowiek tak krzyczał. Wyrwał się szybko z otepienia i trzymając mocno pierścien w garści, popędził do drzwi. Nie miał zamiaru przekonywać się, jak brzmiałby jego wrzask ku chwale Setowi. Po wybiegnięciu z komnaty zauważył, że Kashela nadal czeka na niego pod drzwiami. Nie zaprzatając sobie nia głowy, pobiegł dalej korytarzem w stronę schodów. Dziewczyna podążyła za nim.

Toth-Amon, nacieszywszy oczy widokiem rozrywanego na strzepy włamywacza, zwrócił swoją uwagę ku drugiemu. Ten zniknął. "Nie ucieknie daleko"-pomyślał i rozpoczął przywoływanie następnego demona. Po chwili zdał sobie sprawę, że brak mu mocy na wykonanie tego zaklęcia. Za bardzo ją wyczerpał na rozmowę z Ojcem-Setem. "Nic nie szkodzi. Niech tylko załóż pierścien, a będzie cierpiał po kres swych dni". Odwrócił się w stronę poduszki, aby nałożyć swój skarb na palec.

Wściekły wrzask rozniósł się po wszystkich komnatach willi. Możliwe, że usłyszało go pół Szadizaru. Na pewno dotarł on do zbiegającego po schodach Shevatas i goniącej go Kasheli. Przyspieszyli tempo biegu. Kashela zauważyła, że ucichło irytujące zawodzenie. Wytłumaczenie tego ewenementu dotarło do niej po chwili, gdy usłyszała tupot akolitów, zbiegających po schodach. Jasne było, że nie mają przyjacielskich zamiarów. Wybiegli na "ogród". Wobec zaistniałej sytuacji nie czuli już strachu przed gadami, kryjącymi się w chaszczach. Podjęli desperacki bieg w stronę muru. Za sobą słyszeli odgłosy rozwścieczonych wyznawców Seta, a także wrzaski tych, którzy przypadkowo spotkali się z "pupilami" swego pana.

Kashela pierwsza dotarła do muru i zaczęła zwinnie wspinać się po linie. Zaraz za nią postępował Shevatas. Po dotarciu na szczyt zeskoczyli na ulicę. Na tym nie kończyły się ich problemy, gdyż akolici, wykazując się niebywałym fanatyzmem, opuścili teren świątyni i nadbiegali od strony ulicy. Shevatas wskoczył na balkon pobliskiego domu, aby kontynuować ucieczkę. Usłyszał głos Kasheli, próbującej wdrapać się za nim:

-Pomóż mi wejść! Poczekaj!-krzyczała.

Złodziej był pewien, że wśród ulic Szadizaru już nikt go nie odnajdzie, ale doszedł do wniosku, że dodatkowa pomoc nigdy nie zaszkodzi. Zawrócił i przykucał przed wspinającą się towarzyszką.

-Milo się z tobą pracowało, ale nie potrzebuje dodatkowego balastu. Rozwiązuje umowę.

-Ty psie...-zdążyła wykrztusić Kashela, zanim złodziej zepchnął ją z powrotem na ulicę.

Shevatas zniknął, a dziewczyna coraz wyraźniej słyszała zbliżających się akolitów. Złamała chyba rekę, a jej sytuacja stawała się bardzo krytyczna.

Conan

Euro' 04

Po dwóch latach przerwy kibice piłkarscy doczekali się następnej wielkiej imprezy. Rozgrywane w Portugalii jedenaste Mistrzostwa Europy są, zaraz po czempionacie globu, najważniejszą imprezą futbolową na świecie. Organizowana rokrocznie Copa America nie dorównuje tym rozgrywkom w żadnej dziedzinie. Pod względem organizacji, zainteresowania mediów, zaangażowanych środków i poziomu gry występujących zespołów zawody te mogą śmiało konkurować z Mistrzostwami Świata (zwłaszcza gdy te ostatnie są przeprowadzane w tak karygodny sposób jak w Korei i Japonii). Gdy organizuje się turniej na najmocniejszym piłkarsko kontynencie, jednego można być pewnym-nie zabraknie dobrej gry i piłkarskich emocji. Wszystkie ostatnie imprezy (euro'92, '96 i 2000) są tego dowodem. Najważniejsze pytanie brzmi: jakiego typu zawodów będziemy świadkami? Czy, podobnie jak w Holandii i Belgii, królować będzie otwarty techniczny futbol, czy kibice zostaną zanudzeni silowym, dopracowanym taktycznie, solidnym rzemiosłem piłkarskim? Pierwsze rozegrane mecze (Portugalia-Grecja, Hiszpania-Rosja, Chorwacja-Szwajcaria i Francja-Anglia) dowodziłyby tezie



o przewadze taktyki nad otwartą grą. W sobotę Portugalczycy, tak jak Hiszpanie, wyszli na boisko w asekuracyjnym ustawieniu 1-4-5-1. Tak jak dla piłkarzy z ojczyzny flamenco nie było to przeszkodą dla konsekwentnego przeprowadzania akcji na polowie Rosjan, to podopieczni Luisa Felipe Scolariego razili nieporadnością w ataku, wciąż odbijając się od solidnej tego dnia obrony greckiej. Bramkarz hellenski nie przypominał już milego dla nas fajtlapy, który nie może dogadać się z własną obroną. Zmuszeni do

meczacego ataku pozycyjnego, nie przypominający drużyny sprzed czterech lat, Portugalczycy nadziejali się na groźne kontrataki zespołu greckiego. Po niecałych dziesięciu minutach Karagounis udowodnił gospodarzom, że z taką grą nie mają co myśleć o wywalczeniu mistrzostwa. Wprowadzenie po przerwie Cristiano Ronaldo trochę ożywiło grę ekipy Scolariego, ale stałym mankamentem jego zespołu był brak wykonania zawiązywanych akcji. Druga bramka dla gości ujawniła ostatecznie smutną dla gospodarzy prawdę, której honorowa bramka Ronaldo w doliczonym czasie gry nie była już w stanie zmienić-Portugalczynom brakuje polotu, dynamiki i wiary w swoje umiejętności, którymi imponowali na boiskach Holandii i Belgii. Pomimo wyraźnej przewagi w posiadaniu piłki nie byli w stanie złamać taktycznej konsekwencji w grze Greków.

W drugim meczu tej grupy Hiszpanie atakowali ambitnie od początku meczu. Rosjanie zostali zmuszeni do przyjęcia greckiej strategii wybijania przeciwnika z rytmu i wyprowadzania kontrataków. Nie powtórzył się jednak scenariusz z meczu otwarcia, gdyż Hiszpanie (w przeciwieństwie do swoich iberyjskich sąsiadów) imponowali



walecznością, szybkością i składnością przeprowadzanych akcji. Tutaj było się rzeczywiście przekonany, że potwierdzenie swojej przewagi jest dla Hiszpanów tylko kwestia czasu. „Bracia Słowianie” mogli tylko przyglądać się dynamicznym atakom, inicjowanym po lewej stronie przez Vicente (który był niemiłosiernie tytułowany mianem „Vicente” za sprawą redaktora Szpakowskiego). Pomimo ambitnej gry nie udało się strzelić gola ani Raulowi, ani Morientesowi, którzy po rocznej przerwie ponownie zagrali razem w ataku. W drugiej połowie Inaki Saez podjął, że wszechmiar słuszną decyzję o wprowadzeniu do gry Juana Carlosa Valerona, który zmienił Morientesa. Przyniosło to od razu wymierny skutek w postaci bramki, zdobytej przez pomocnika Deportivo La Coruna, który dopiero co wszedł na plac gry.

Hiszpanie przeprowadzali nadal groźne ataki, ale mimo wszystko brakowało im trochę skuteczności. W każdym razie mocno przereźdzona obrona rosyjska może uznać stratę tylko jednego gola za duży sukces, zwążywszy na ilość ambitnych ataków przeciwnika. Zawiedli Raul i Morientes, kreowani na największy postrach bramkarzy na mistrzostwach, ale cała drużyna udowodniła, że może się liczyć w walce o tytuł. Rozegrany w niedzielę mecz dwóch europejskich średniaków, Szwajcarii i Chorwacji, nie był imponującym widowiskiem. Charakteryzowała go ostra walka i brak bramek. Sedzia pokazał łącznie 10 złotych kartek (Szwajcarzy konczyli mecz w dziesiątkę). Pomimo bezbramkowego remisu obie drużyny mogą czuć się przegrane. Żadna z nich nie wzmocniła swojego miejsca w grupie przed trudnymi meczami z Anglią i Francją, które są w tej chwili głównymi faworytami do awansu do ćwierćfinału. Drugie, ciekawsze, spotkanie tej grupy ujawniło dwie piłkarskie prawdy: „niewykorzystane sytuacje się mszcza” oraz „zawsze trzeba grać do końca”. Anglicy doświadczili



ich obu z całą brutalnością. Najgorzej odczuje tę porażkę David Beckham, który pomimo świetnej asysty przy голу Lamparda jest jednym z głównych (obok Stevena Gerarda) winowajców porażki Anglików. Niewykorzystany karny skazuje go na pozarcie przez

brytyjską prasę. Jeżeli jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy, to na pewno uzmysłowi mu to złośliwe komentarze w „The Sun” lub „Daily Mirror”, które zapewne w tym momencie (noc z niedzieli na poniedziałek) drukują się w drukarniach tych (i innych) tabloidów. Potwierdzenia doczekała się także nowa piłkarska prawda: reprezentacja Francji bez Zidane’a traci połowę swojej wartości. Kapitan „trójkolorowych” ponownie uratował ich przed blamazem, strzelając gola w końcówce meczu (przypominają się mecze towarzyskie z Polską i ostatnio z Ukrainą), i zapewnił zwycięstwo, pewnie egzekwując karnego w doliczonym czasie gry. Konsekwentna taktyka obronna znowu mogła zapewnić zwycięstwo teoretycznie słabszemu przeciwnikowi (Francuzi prowadzili grę przez większość meczu, ale to Anglicy strzelili gola i mogli rozstrzygnąć spotkanie na swoją korzyść). Nawet najlepsza taktyka jednak nie pomoże, gdy ktoś gra tak kapitalnie, jak momentami czyni to „Zizou”.

Pierwsze rozstrzygnięcia nie przyniosły nam jeszcze odpowiedzi na pytanie, jak będą wyglądały całe mistrzostwa. Gra Hiszpanów (jeżeli pominąć ich brak skuteczności) oraz końcówka w wykonaniu Francuzów dają nadzieję na zawody z popisami gwiazd i kilkoma „fajerwerkami” technicznymi. Nie

wiadomo, póki co, w jakiej formie znajduje się reszta drużyn. Hiszpanie i Francuzi udowodnili, że pomimo niektórych mankamentów w ich grze nadal liczą się w walce o wielką stawkę. Na pewno nie można skreślać Anglików. Natomiast Portugalczycy muszą poważnie przeanalizować swoją grę i na następne mecze wyjść bardziej zdeterminowani. Do roli „czarnego konia” mistrzostw pretenduje reprezentacja Grecji, która prawdziwy sprawdzian przejdzie w następnej kolejce w meczu z Hiszpanią. Gdyby euro odbywało się weszłym roku, największą szansę na uzyskanie tego miana miałyby reprezentacja Czech z bedacym w świetnej formie Pavlem Nedvedem. W tym sezonie gracz Juventusu nie imponuje już taka wysmienita forma, dlatego postawa naszych południowych sąsiadów pozostaje niewiadoma. Debiutant na mistrzostwach-Lotwa- jest skazany przez wszystkich na pozarcie. Nie należy jednak zapominać, że na tym łatwym kasku polamaly sobie żeby takie dobre drużyny jak Turcja czy Szwecja (o stanie naszego uzebienia już nawet nie wspomnę), więc także ich nie należy lekceważyć. Niemcy są ostatnio zupełnie bez formy. Wydaje się, że drugi raz z rzędu nie odegrają na mistrzostwach większej roli. Wiele wskazuje na to, że ich los podzieli reprezentacja Holandii. „Oranje” przegrali oba swoje mecze sparingowe przed turniejem. Trener Dick Advocaat nie może sobie najwyraźniej poradzić ze zlepkiem wielu gwiazd, które nie tworzą zgranego kolektywu. W każdym razie nazwiska takie jak Van Nistelrooy, Davids, Stam czy Makaay robią wrażenie. Najwyższa pora, aby jednak zaczęły „grać”. Pozostaje mi życzyć sobie, a także innym kibicom, dobrej piłki, jak największej liczby niezłych meczów i braku nudy, zionacej z ekranu w czasie transmisji z gorących boisk Portugalii. Niech wygra najlepszy!

Pozdrawiam
Conan

STOPKA REDAKCYJNA:

red.naczelną - Anna (zuq®) Zaczek 2e
honorowy red.naczelný - Wojtek Urban 11e
red.techniczna - Marta Paluch 2e
sekretarz - Piotr Kulczycki 2b
Redaktorzy:

Witek (svistak) Granicki 1e
Michał (Conan) Kapa 4b
Mateusz (fh) Potemski 4c
Michał (siemas) Siemek 2e
Agata (ata) Tomaszuk 1b
Marcin Wieczorek 1b
Goscinnie: Kasia (kot) Tarnowska

Grafa:

Kaska Dyjewska

Zdjecia:

Prof. Barbara Dłuzewska
Mateusz Potemski